

Ja robot – ja wykształciuch

19 grudnia 2015

W latach osiemdziesiątych pracowałem jak robotnik w zakładzie zbrojeniowym. Moją świadomość kształtowali ludzie pracujący ciężko, będący znakomitymi fachowcami w zakresie obróbki metali dla potrzeb lotnictwa. Ludzie niezwykle inteligentni, spotkałem nawet robotnika z II klasą mistrzowską w szachach (!) a czytający podziemną literaturę historyczną wcale nie byli czymś osobliwym. Z niektórymi łączyły mnie wyjątkowe więzi, takie jakie mogą być związane przy wspólnym przeżywaniu niebezpieczeństw – razem działaliśmy w podziemiu. W tym kręgu byli też i inteligenci – wszyscy byli sobie równi, co mnie wtedy z ledwo rzucającym się zarostem dwudziestolatka nie dziwiło, ale z pewnością dopingowało. Bo czyż młody człowiek może być bardziej dowartościowany, niż jak starszy o ponad 20 lat kolega inżynier każe mu mówić do siebie po imieniu? Wiem, że wielu dawnych działaczy z podziemia w tamtym zakładzie wspiera dzisiaj PiS. A pamiętam jak skandowali podczas demonstracji „Lech Wałęsa!”. Jak to się stało?

Dla mego pokolenia, ludzi urodzonych w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku komunizm był normą, w jakiej się wzrastało, kształtowało własną świadomość, bawiło i pracowało. Nie było alternatyw, szumne opowieści o preferencjach w kształceniu dzieci rodzin robotniczych z przyczyn różnych, także obiektywnych, były jedynie frazesami. Na studiach, zwłaszcza na kierunkach obleganych, uczyły się głównie dzieci milicjantów, lekarzy, nauczycieli, prawników. Tajemnicą poliszynela było, że chcąc zostać lekarzem, trzeba mieć tatę lub mamę lekarzkę, a żeby zostać adwokatem – tatę lub mamę adwokata. Przyznawane wtedy punkty za pochodzenie robotniczo-chłopskie pomagały w dostaniu się na kierunki mało oblegane, z gorszymi perspektywami. Kolejki w sklepach były codziennością, braki w towary stwarzały normę, dzięki której coś ponad przydział się „załatwiało” lub „skombinowało”. Te eufemizmy

oznaczały najczęściej, że ktoś coś ukradł, żeby sprzedać to nam. Albo nas lubił albo miał w tym interes, bo my mu „załatwiliśmy” co innego.

Tą naszą codzienność, jaką znaliśmy, potrafiliśmy się w niej poruszać nagle, z dnia na dzień niemal zamieniliśmy na coś, co niektórzy zwą demokracją, niektórzy kapitalizmem. Czy są nimi w istocie nie będę się tutaj zajmował, bowiem nie dlatego to piszę.

Kiedy wszedłem do podziemia, decyzją niebyt świadomą (miałem 16 lat) poznawałem ludzi szlachetnych, pełnych idei, poświęcających czas , zdrowie i ryzykujących życie. Po wpadce w 1986 roku środowisko to mi się poszerzyło. Będąc w konspiracji nie zdawałem sobie nawet sprawy, jak wielka jest liczba ludzi „spalonych”, mogących działać jedynie jawnie, by nie przynosić zagrożenia dla podziemnej struktury. Stałem się swego rodzaju maskotką – wobec braku wśród jawnych działaczy młodych robotników byłem zabierany na wszelkie spotkania, gdzie wrodzona nieśmiałość nie pozwalała mi się odzywać. Widywałem wtedy dziennikarzy z USA, Niemiec, Francji. Związkowców z tych krajów, przedstawicieli ich ambasad. Zazwyczaj milczałem, ponieważ moja wiedza w porównaniu z intelektualistami z jakimi przebywałem była znikoma – cóż ja do Józka Piniora, Leszka Budrewicza, Piotrka Ikonowicza czy z młodszych – Pawła Kocięby lub Pawła Kasprzaka?

Tworzyliśmy prawdziwe społeczeństwo obywatelskie. To wtedy można było zobaczyć na piwie w knajpie (najczęściej mordowni), inteligenta z robotnikiem, jak wymieniają się...książkami i co brzmi dzisiaj jak herezja – uwagami o przeczytanej literaturze. Robotnicy, dobrze wykształceni zawodowcy byli trzonem systemu, ale i Solidarności oraz innych grup opozycyjnych odwołujących się do solidarnościowych korzeni. Przenikanie się wzajemne środowisk było tak oczywiste, że nikt się nawet nie zastanawiał, z jakim to historycznym zjawiskiem mamy do czynienia – co nam z tego zostało? NIC.

Nastąpiły przemiany, a wraz z nimi ostry podział na tych co potrafią i na tych, co nie potrafią. W obu grupach znaleźli się byli uczestnicy walki z podziemia czy ze struktur jawnych. W ogniu przemian ci, którzy się usadowili na stołkach sejmowych, w zarządach firm państwowych czy w rządzie, zupełnie zapomnieli o niedawno wychwalanych tak ludziach pracy najemnej, bez udziału których sama inteligencja nie byłaby w stanie obalić systemu. Mogłaby co najwyżej uczyć się nowych zawodów na dalekim kole podbiegunowym, gdzie najbardziej godnym ich zajęciem byłoby pasanie reniferów.

Wygraliśmy. Zwyciężyliśmy. Radość trwała krótko, nieco ponad rok. Zaczęły się wtedy zawinione i niezawinione upadki przedsiębiorstw, które były wykupywane przez przedsiębiorstwa zachodnie w różnych celach. Niestety często po to tylko, by zniszczyć konkurencję. W rezultacie ci, bez których nie udałaby się żadna manifestacja w stanie wojennym, ci, którzy z narażeniem życia, czasem je tracąc strajkowali – zostali na przysłowiowym lodzie. Pozostaje zapytać, co dla byłych działaczy struktur podziemnych Solidarności zrobili ich koledzy z Solidarności? Odwrócili się plecami. I to niebyło jeszcze najgorsze – najgorsze było to, jak w pouczającym tonie opowiadali o nieudacznikach, jak z pogardą patrzyli na kolegów, którzy nagle stoją w kolejce po zasiłek nie dający prawa do przeżycia. Ciężar walki o niepodległość nieśli robotnicy, oni też ponieśli największe konsekwencje zmiany systemu. Sami sobie zgotowali ten los. Za walkę o naszą wspólną niepodległość dostali pogardę, tym boleśniejszą, że wyrażaną przez ich byłych kolegów i koleżanki, którzy wcześniej, gdy ich potrzebowali, prześcigali się w zapewnieniach o niemal miłości do klasy robotniczej.

Kiedy wykształciucha dotknęła choroba, czy sytuacja go przerastająca, w wyniku której spadał niżej, a tak stało się z kilkoma naszymi przyjaciółmi, oświeceni także nie pomogli. Ci ludzie na równi z robotami klepią naszą polską biedę, często nie jedząc i śpiąc pod mostem. A piszę o ludziach zasłużonych,

obecnych na kartkach książek, gdzie opisuje się ich poświęcenie.

Z małymi wyjątkami, inteligencja stała się klasą wyższą, posiadającą. W wielkich ośrodkach, zwłaszcza w Warszawie zapachniało dobrobytem urzędniczym, zaczęły się tam lokować międzynarodowe firmy. Praca była tylko dla wykształconych i znających języki obce. Oni stali się nową klasą wyższą, hołubioną przez posłów, senatorów z dawnej, podziemnej Solidarności. Co się stało, że odwrócili się plecami od koleżanek i kolegów będących często w skrajnym ubóstwie? Można tylko domniemywać – sam często rozmawiając z nimi słyszałem wypowiedzi świadczące o pogardzie dla tych „gorszych”. Często, kiedy rozmawialiśmy na moją uwagę na temat różnicy w sytuacji padało jakże upodlające i odczłowieczające – „nieudacznicy zazdroszcza”. Co się stało?!!!

Znam tylko jeden przypadek dawnego lidera Solidarności, który zatroszczył się o swoich przyjaciół z podziemia. Zbyszka Janasa z Warszawy. Kiedy umierała na raka jego łączniczka zrobił wszystko by miała pieniądze na leczenie. Po jej śmierci postarał się o rentę dla dzieci, mimo że były z nią kłopoty nie załamał rąk i tak długo nawiedzał odpowiedzialne instytucje, że załatwił. Pomagał tak wielu swoim koleżankom i kolegom w złej sytuacji. Zawsze od nich odbiera telefon, co nie jest częste wśród ludzi sukcesu. Czy jest jedynym? Nie sadzę, pewnie tak nie jest, ale musi być ich strasznie mało, skoro znam tylko jednego. Nie, nie jednego. Jest jeszcze Piotrek Ikonowicz, ale to inna bajka, człowiek, któremu nawet kościół powinien stawiać pomniki za jego zaangażowanie w obronę ludzi biednych – chociaż sam Piotrek z kościołem jest delikatnie pisząc – daleko.

Syci zarządzali krajem na swój sposób, robili kariery, wchodzili do zarządów spółek – nikt z pierwszych posłów Solidarności nie cierpi biedy – wszyscy są dobrze sytuowani, gdy coś się działo, zmieniała się władza – koledzy z ław sejmowych podają rękę i lokują w spółkach skarbu państwa, lub

innych, zaprzyjaźnionych przedsiębiorstwach. Czy to jest złe? Jeśli są to fachowcy z bogatą wiedzą, a posłowie raczej takimi są, bowiem biorą udział w wielu pracach legislacyjnych, gdzie trzeba się „nauczyć” danej branży, a spojrzenie mają szersze od zwykłego człowieka, to nie widzę w tym niczego złego. To zjawisko tłumaczy jakoś coraz większe oddalenie, z jakim mamy dzisiaj do czynienia. Na to nakładają się dodatkowe podziały z podziemia, gdzie jedni byli przeciwnikami drugich, podziału przeniesionego przez Wałęsę kiedy został prezydentem. Anna Walentynowicz czekała wiele lat, do prezydentury Lecha Kaczyńskiego na uhonorowanie jej za wieloletnią działalność na rzecz wolnej Polski. Jej znaczenie starano się zbagatelizować, uczynić mniej ważną od Wałęsy. Dzięki Instytutowi Pamięci Narodowej i wielu innych historyków nie udało się.

Anna Solidarność ma swoje godne miejsce w naszej pamięci. Bo mogliśmy się z nią nie zgadzać, ale zasług dla obalenia komunizmu tej biednej (dosłownie!!!) kobiecie nie odejmiemy. Tak jak i Wałęsie. Można go nie lubić – sam mam do niego dystans za jego megalomanię i obojętność na los dawnych opozycjonistów-ale zasług nie odmówię.

Powtórzmy: Anna Walentynowicz, jedna z najstarszych opozycjonistek w Polsce, osoba dzięki której zaczęły się strajki sierpniowe – czekała na odznaczenie państwowe 17 lat. Podczas gdy jej dużo mniej zasłużeni koledzy po 3-4 latach wyglądali jak bożonarodzeniowe choinki.

Pojawia się pytanie – czemu tak zaciekle wycinano z pamięci tą drobną, niezwykle zasłużoną kobietę? Czemu jej dawni koledzy, zwłaszcza Lech Wałęsa wzięli tym udział? Nie wiem. Nie wiem czemu syci koledzy zubożałej Anny Walentynowicz, suwnicowej ze Stoczni Gdańskiej odwrócili się do niej plecami? Ludzie podziemia, do których „oświeceni” mają tylko pogardę są z tej strony.

Ten podział na tych, co się załapali lub/i się im udało funkcjonuje do dzisiaj. Opozycjoniści z oświeconych kręgów nie

podjęli ani jednej inicjatywy by przywrócić godność robotnikom zapomnianym, żyjącym w nędzy. Kiedy środowiska opozycji antykomunistycznej przygotowały swój projekt o pomocy kombatantom w nędzy, kancelaria prezydenta, złożona z sytych i oświeconych ucięła go tak, że teraz człowiek w złej sytuacji nie będzie zdychał z nędzy-będzie z tej nędzy umierał. 400pln miesięcznie dla kogoś, kto nie posiada niczego i to tylko przez rok – potem może dalej zdychać. A czy to aż tak wielkie obciążenie dla budżetu pomóc godnie? Oczywiście że nie, więc co zadziałało Państwo syści? Zazdrość, zawiść czy zwyczajny brak empatii?

I widziałem biedę. Dużo. Bardzo dużo. Skończyłem studia, miałem dobrą pracę – wszedłem do innego świata, gdzie nikt nie eksperymentował z brakiem matury, wszyscy byli nowocześni, liberalni, bardzo rzadko kiedy ktoś mówił coś innego. Wspomnienie o biedzie było jak puszczenie bąka w salonie, przecież wszystko zależy od nas, każdy ma równe szanse. Czy każdy?

Lata dziewięćdziesiąte. Jakaś knajpka. Podchodzi dziecko i prosi o coś do jedzenia. Przyzwyczajony do wielu naciągaczy, proponuję kanapkę jaką mam ze sobą. Chłopczyk niemal wciąga w całości, prawie bez gryzienia. Patrzy na mnie wdzięcznymi oczyma – mam świeczki w oczach. Coś mu kupuję, chociaż sam nie jestem bogaty. Ten chłopiec też miał równe szanse?

Pracuję w koncernie zagranicznym, mam dobry zarobek, służbowy samochód, telefon komórkowy, laptop. Jestem w Koszalinie. Na parkingu zaczepia mnie chłopczyk i prosi o coś do jedzenia. Idę z nim do sklepu, robię zakupy, ekspedientka ściszone głosem do mnie mówi, że chłopczyk nie jest naciągaczem, naprawdę zbiera dla rodziny. Gardło łapie skurcz. Spotkałem go kilka razy, zawsze robiłem drobne zakupy, potem przestałem go spotykać, pewnie opieka społeczna wreszcie wzięła się do pracy – pytanie jak? Czy odebrali dzieci rodzicom? To dziecko też ma równe szanse?

Wracam ze Szczecina, koło Zielonej Góry biorę na stopa kobietę, matkę pięciorga dzieci. Mąż na rencie, nie dają sobie rady. Kobieta dorabia jako prostytutka. Naprawdę to były równe szanse? Dodam, że kobieta pochodziła z Nowej Soli, tak oburzonej teraz na słowa dzisiejszej premier na temat biedy w tym regionie.

Gdzieś w Polsce, jedzie ze mną kobieta stopem, matka trojga dzieci. Płacze, że znowu nic dla nich nie dostała w opiece. Daję jej kilka złotych na chleb. Wstyd mi do dzisiaj, że nie miałem więcej. I za odruch wykształciucha. Gdy zapytałem się czemu nie pracuje, odpowiedziała że „nie dają”. Pomyślałem wtedy z odruchem wyższości, to czemu sama nie szukasz? A jak ma się szukać kiedy mieszkała sama z małymi dziećmi?!

Jedziemy z kolegą, na drodze klęczy chłopiec, żeby go zabrać. Stajemy. Zabieramy ze sobą, opowiada swoją historię. Razem z kolegą dajemy mu kilkadziesiąt złotych, gardła coś nam dławi.

Kim jesteśmy żeby oceniać kobietę prostytutującą się dla dzieci? Chcą jeść, a moi syci koledzy z Solidarności takich mają za nic, więc radzą sobie jak potrafią, dochodząc często do granic, a nawet je przekraczając. Programy pomocowe dla tych ludzi ogłaszane szumnie w mediach były zwykłą kpiną z tych biednych ludzi.

Afera podsłuchowa obnażyła bez retuszu korupcję wśród „oświeconych”. Płacenie kartą służbową za prywatne obiady musi boleć i budzić odruch protestu. Media na opisanie tego zjawiska używają słów zamienników – nieprawidłowości, niejasności itp. Jakie niejasności? Złodziejstwo jest złodziejstwem i prości ludzie mają tylko to słowo na nazwanie tego procederu. I słusznie.

Na jednym z obiadków podano wino za (chyba) 900pln. Mniej więcej tyle wynosi zasiłek dla bezrobotnego, za który musi często przeżyć rodzina pięcioosobowa cały miesiąc. A nasi dawni koledzy nic sobie z tego nie robią, zapomnieli o miłości

do ludu pracującego – wykształciuchy mają prawo. Plebs ma milczeć i słuchać. I żywić nowych panów. A oni się dziwią, że ludzie oddają głosy na prawicę? Niedawno przeczytałem tekst Piotrka Ikonowicza na ten temat – Piotrek ma 100% racji.

Wielu kombatantów naszej walki o wolność musiało wyjechać z kraju w poszukiwaniu pracy, by mogli wyżywić siebie i rodzinę. Nie wygoniła ich komuna, oferując paszporty na zachód za przerwanie działalności – zrobili to po zwycięstwie ich przyjaciele – wykształciuchy. Czasem mam wrażenie, że jedyne co „oświeceni” mają do zaoferowania tym, którzy nie dają sobie rady to łopata – żeby mogli siebie sami zakopać.

Autorstwo: Grzegorz Majewski

Źródło: FundacjaWiP.wordpress.com